



Maria Okońska

część V z VI

Sygnatura notacji: **N0052**
Data urodzenia: **16.12.1912 r.**
Data nagrania: **23-25.05.2007 r.**
Miejsce nagrania: **Instytut Prymasowski, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Agata Ziemba, Barbara Pamrow**
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 22 min, część III: 56 min,**
Format nagrania: **video** **część IV: 44 min, część V: 50 min,**
Język nagrania: **polski** **część VI: 41 min**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Maria Okońska: Też jeszcze jakaś kawiarnia była po tej pierwszej stronie. Potem po drugiej też. Też przyleciały „sztukasy”, a podawała nam do stołu urocza dziewczyna. „Co wam dać?” No i tak, coś tam, herbatę nam dała, tę pluję, i powiedziała, że się nazywa Scarlett. Ja sobie przypomniałam „Przeminęło z wiatrem” i ona mówi: „No tak. Może ja dziś zginę?” „A dlaczego, co ty gadasz, dlaczego masz dzisiaj ginąć?” „No bo jest coraz bardziej niebezpiecznie. A ja staram się nie opuszczać tej kantyny”, czy jak ktoś tam nazywało, „żeby ludziom służyć jakąś tam herbatą czy czymś”. Ale mówi: „No, zobaczymy, może się uda przeżyć powstanie, ale jak Pan Bóg będzie chciał, to można i zginąć”. Na drugi dzień też jesteśmy w tym samym miejscu. Przychodzi Scarlett. Smutna jak noc. Zbolała. „Scarlett, co ci się stało?” „Mój chłopak zginął”. „Kiedy? Chłopak twój? Nie wiedziałyśmy, że masz chłopaka”. „No mam. Już nie mam. Dziś w nocy zginął”. „I jak to? I ty przyszłaś tutaj podawać ludziom herbatę i tutaj do stołu?” „Tak, bo jestem na służbie. I moja boleść nie może mi przeszkodzić w służbie ludziom w Powstaniu Warszawskim”. Byłyśmy wstrząśnięte, ogarnęłyśmy ją ramieniem, całowałyśmy ją, tuliłyśmy ją do serca: „Scarlett”. Potem odbył się pogrzeb tego chłopca, to już później. „Scarlett, jesteś po prostu bohaterka. I bądź bohaterką do końca, dokąd się powstanie nie skończy”. Potem już się nie widziałyśmy. Kiedyś któraś mówi: „Och, jak ja bym zjadła kawałek mięsa”. „Mięsa? W powstaniu? Czyś ty zwariowała? A skąd weźmiemy mięso teraz?” Na drugi czy trzeci dzień po tym, że ta chce, nie wiem, czy to była Lilka, czy Janka, i mówi: „No już nie będę chciała mięsa”. Przychodzi Lilka, przynosi kawał mięsa. „Lilka, skąd ty wzięłaś mięso?” „Właśnie konia rozbierali”. Koń przed chwilą zginął i ludzie rzucili się na tego konia, i go tam odpowiednio pokroili, bo nikt nie miał mięsa w powstaniu, a ten koń dopiero co zginął, czyli mięso było świeżutkie, można kroić, od razu masa powstańców się znalazła, jakieś tam noże coś pokroili i między innymi właśnie ta jedna z nas wzięła kawał mięsa i przyprowadza, przynosi z triumfem: „Mamy mięso”. Ale kto nam to zro-

bi? Przecież to trzeba. Ja sobie przypominałam, że mam wujka i ciocię na ulicy przy PKO niedaleko, nie pamiętam, jak się ta ulica nazywała, a ich jeszcze w powstaniu nie odwiedziłam, no więc poszliśmy do wujostwa. Ja mówię: „Ciociu”. „Ale gdzie wyście... Dlaczego nie odwiedziliście nas wcześniej?” „Miałyśmy tyle przeżyć, tyle roboty. Ciociu, upiecz nam, zrób nam to mięso, to znaczy taki befsztyk z tego mięsa”. „Dobrze, siadajcie”. Coś tam zrobiła, coś tam pokroiła, coś tam potłukła tym tłuczkiem, rzuciła jeszcze w piec, rzuciła na masło i za chwilę przychodzi z tymi porcjami, a ta, która właśnie chciała mieć mięso, to my mówimy: „Dziękujemy ci, żeś ty zachciała sobie mięsa, bo dzięki tobie teraz jemy pyszny obiad”. Chyba jedyny w powstaniu, do tej pory czegoś podobnego w powstaniu nie jadłyśmy. I rzeczywiście do końca powstania nie jadłyśmy takiej pyszoty. Mięso z takim sosem pysznym, a tam siedziałyśmy u wujostwa parę godzin, nim oni to zrobili, nim potłukli, nim się to usmażyło, ale ślinka leci, jak sobie to przypomnę dzisiejszego dnia, to też mi ślinka leci, takie to było pyszne dla nas wygłodniałych, znaczy wygłodniałych w sensie przenośnym, bo pluja była, zawsze można było zjeść pluję, no ale kotletów nie było. Ciocia Sabina i konina. Tak sobie to napisałam w książeczce. Ciocia Sabina i konina. Bym nigdy w życiu do ust nie wzięła koniny, jakby mi ktoś powiedział, że to z koniny kotlet, to bym do gęby, przepraszam za wyrażenie, nie wzięła, ale wtedy jadło się z nadzwyczajną rozkoszą i z nadzwyczajnym smakiem. Jeszcze muszę powiedzieć, co myśmy przeżyły po 26 sierpnia, będąc jeszcze przed przejściem na drugą stronę alej. Ponieważ 26 sierpnia, to już mówiłam na początku, to był dzień tragiczny, najtragiczniejszy dzień dla nas, przynajmniej w Powstaniu Warszawskim, wszystko się waliło, wszystko ginęło, pożary, łuny, wydawało nam się, że koniec powstania, klęska, a myśmy na ten dzień, powtarzam to, co mówiłam na początku, zapowiedziałyśmy Warszawie zwycięstwo w tym, co napisałyśmy, „Nowa Mobilizacja Walczącej Warszawy”. No i po 26 sierpnia, po tej klęsce, po tym, jak pocieszałyśmy porucznika Niezłomnego, gdzieś tam w końcu klękłyśmy i straszny przeżywałyśmy dramat, dramat. Zapowiedziałyśmy Warszawiakom zwycięstwo. Ufałyśmy bez granic, że Matka Boża, Matka Boża Jasnogórska, Królowa Polski, da Warszawie zwycięstwo, a tu wszystko się wali, pali, masa ludzi zginęła, nie wiedziałyśmy wtedy ile, dopiero po powstaniu się dowiedziałyśmy, że z przeszło półmilionowej Warszawy zginęło najwyżej dwieście kilkadziesiąt tysięcy. To było nic w porównaniu z tym, co wyprawiali Niemcy. Walili, z wyjątkiem nocy, bez przerwy. Wydawało nam się, że jak będziemy wychodzić z powstania, to tylko my, ludzie już poginęli. Tak się wydawało, a ludzie wyszli. Nieprawdopodobnie dużo było ludzi. Jeżeli 1 mln 200 000 było przed powstaniem, to z Warszawy wychodziło najmniej 800 000 ludzi. To był ten cud Matki Bożej, w który wierzyłyśmy, ale po tym 26 sierpnia to był nasz dramat, straszny dramat. Właściwie Warszawa zginęła. Nie mury, ale ludzie. I pamiętam, jaką Pan Bóg dał pociechę, naprawdę pociechę, przynajmniej mnie. Ja byłam tak pocieszona, jakby mi skrzydła urosły z ramion. Jaka pociecha. Taka: Warszawa ginie, ale w stanie łaski uświęcającej. Czyli ludzie giną, umierają, ale idą do Boga. Idą może wprost do nieba, bo właśnie z tej bohaterkiej Warszawy idą, giną i idą w ramiona Boga. Bo prawie wszyscy, wierzyłam w to, giną w stanie łaski uświęcającej. Prawie nikt z tych, którzy giną, nie są w stanie grzechu. Bo przecież były te absolucje zupełne, księża dawali rozgrzeszenie bez spowiedzi. Tłum prosili tylko: „Proszę wzbudzić żal za grzechy”. I dawali absolucje, absolucje. Zupełne rozgrzeszenie, czyli kto wzbudził akt żalu, już był w stanie łaski. A jeżeli zaraz zginął, to był w stanie łaski. Tak jakby był po spowiedzi. I to była dla mnie wstrząsająca radość. Warszawa ginie, ale w stanie łaski uświęcającej. Warszawa, moja ukochana Warszawa, ginie w stanie łaski i idzie do Boga. Przez Matkę Najświętszą idzie w ramiona Chrystusa. To było największe moje szczęście w powstaniu. A drugie: właśnie jak klęczałyśmy po tym 26. Tak, Warszawa ginie, ale w tej łodzi, na tych wzburzonych falach powstania, w tej łodzi dzielącej Warszawę jest Chrystus. Warszawa się modli, ludzie się bardzo w schronach modlili. Błagali Chrystusa o cud uratowania. Warszawy, nie murów, ale po prostu stolicy. Ludno-

ści stolicy. Modlili się do Chrystusa, do Maryi. I tak nieraz zamykałam oczy właśnie wtedy, po tym 26., tak. Wydawało mi się, że już wszyscy zginęli niemal. Warszawa ginie. Ale w tej łodzi wzburzonej Warszawy, w tej łodzi jest Chrystus. Apostołowie, gdy wydawało się, była burza na morzu, apostołowie krzyčili: „Panie, ratuj nas”. Budzili Chrystusa, prawda? Wiemy to z Pisma Świętego. Szarpali po prostu Chrystusa. „Panie, ginimy!” I Warszawa ginie, ale w łodzi jest Chrystus. I Chrystus każdego może uratować. I Warszawę może Chrystus uratować od całkowitego zginęcia. I uratował. Potem się dowiedziałyśmy, że zginęło 200 000. To co to jest wobec 1 mln 100 000 osób? To jednak jakaś cząsteczka Warszawiaków zginęła, jednak Chrystus śpi w tej łodzi. Jeżeli ja zaraz z Lilką, Janką zginemy, to ginimy w łodzi, w której jest Chrystus, a z Nim wszystko mi jedno, co ze mną będzie. Z Nim wszystko dla nas jest możliwe i wszystko jest szczęściem, bo przecież nie żyjemy na ziemi tylko, pójdziemy tam, wszyscy idziemy do Boga, jeżeli zginemy w powstaniu, to pójdziemy do Niego. Może nawet bez czyśćca. Bo jednak to jest wielkie oczyszczenie, męka powstańczej Warszawy. Dla większości ludzi to było straszne cierpienie, ale dla nas młodych i bardzo wierzących w Jezusa i Maryję powstanie było jednak nie tylko ogromnym przeżyciem, ale też jakimś szczęściem. Tyle lat już po powstaniu jest w tej chwili, kiedy ja to mówię, to jest rok 2007. Ile to lat po Powstaniu Warszawskim! A jednak gdy mnie pytają: „Co dla ciebie, Marysiu, było największą radością w tym życiu?”, dwa okresy: Powstanie Warszawskie i więzienie. Węzienie, jeszcze nie było więzienia, to jeszcze powiem, ale takie tragiczne, zdawałoby się, przeżycia, taką Pan dał mi po prostu łaskę, że i więzienie było mi szczęściem, ale o tym kiedyś powiem, i powstanie było mi szczęściem. Mogłam przeżyć tragiczne dni Warszawy. Mogłam przeżyć z ogromną, przeogromną miłością ku Bogu, ku Chrystusowi, przez Maryję. 8 września to jest dzień Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. W Kościele Chrystusowym do dzisiejszego dnia jest to święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. My już jesteśmy po drugiej stronie Alei Jerozolimskich. I przyszło takie natchnienie, że przecież powstanie nieskończone. Przecież nie wiadomo, czy przeżyjemy, czy zginemy. I przyszło jakby takie wewnętrzne natchnienie, powtarzam, a nawet więcej, jakby wewnętrzny Boży rozkaz. Ukłękłyśmy. Już byliśmy w tym mieszkaniu opuszczonym przez właścicieli mieszkania. I złożyłyśmy życie, ale absolutnie świadomie, złożyłyśmy swoje życie, a to bardzo łatwo było zginąć, prawda? Za naszego Ojca. Czyli księdza Wyszyńskiego. To były największe chyba przeżycia nasze w Powstaniu Warszawskim. Klęcząc, składałyśmy swoje życie Maryi, by nasze życie zaniósł Chrystusowi, z jednym błaganiem: my, młode, możemy jeszcze żyć, jeżeli się uratujemy, ale składamy dobrowolnie, świadomie ofiarę z naszego życia za naszego Ojca. My możemy zginąć, on musi żyć. Nie wiedziałyśmy, co się jeszcze z naszym ojcem stanie, jeżeli wrócimy do Łasek po powstaniu i zobaczymy, że nasz ojciec żyje. Nie wiemy, co jeszcze czeka naszego ojca, kim będzie, jakich rzeczy musi dokonać, ale wiedziałyśmy jedno: on musi żyć, to jest taki człowiek, już go poznałyśmy, to jest taka jakaś wewnętrzna wielkość, to jest taka jakaś świętość, że ten człowiek musi żyć, aby wypełnić swoje przeogromne posłannictwo, które czułyśmy, że przed ojcem jeszcze jest. Ojciec musi żyć dla Polski, ojciec musi żyć dla Chrystusowego Kościoła. A my możemy nie żyć, więc Chryste, przyjmij nasze życie. Dobrowolnie Ci składamy, ale zebrzemy o jedno: ocal naszego ojca. Ocal. My nie wiedziałyśmy, co się w Łaskach dzieje, przecież nie można było wyjść, zobaczyć, czy Ojciec żyje w Łaskach, czy nie. Ale wierzyłyśmy, że żyje, i błagamy Cię, Jezu, ocal Ojca. I co się stało 8 września? Po złożeniu naszej ofiary z życia, dobrowolnej ofiary z życia za naszego ojca księdza Wyszyńskiego, takie się zrobiłyśmy wesolutki, ale takie wesolutki, tak nam już było wszystko jedno, zginemy czy nie zginemy, aby nasz ojciec żył. No i żeby Bóg przyjął ofiarę, żeby Polska była wolna i żeby ocalała. A mama Janicka, właśnie matka Wojtka, Andrzeja Janickiego, matka Andrzeja, mówiła: „Dziewczyny, siadajcie, mam dużo mąki i tłuszczu po tych państwu, którzy wyszli. Zrobię wam placki”. Jak ja lubię placki. Mówię: „Mamo, placki, to myśmy czegoś podobne-

go od początku powstania nie jadły. Mama, rób nam placki”. Mama smażyła placki, myśmy jadły jak najęte. Jakbyśmy w ogóle nic w życiu nie jadły. Po ileś tam placków. W tym mieszkaniu właśnie to już nas było więcej, nie tylko my trzy. Po zjedzeniu placków mama do nas przychodzi, my jej dziękujemy, całujemy po rękach, bierzemy jej buźkę, głowę, tulimy. „Mama, jakie to cudowne, tak nas nakarmiłaś, tak nas tymi placuszkami uratowałaś”. Mama mówi tak: „Wiecie co? Wam się nie dziwię, żeście tak jadły placki. Jadłyście, jak byście tylko dla tej chwili żyły. Jadłyście rzeczywiście jak wilki. Wam się nie dziwię, ale tobie, Marysiu, bardzo się dziwię”. Ja mówię: „Mamo, dlaczego?”. „Bo ja myślałam, że ty to jesteś już taka osoba, że ty byś tak, że się zdziwiłam, że ty też tak jesz placki jak one”. Ja mówię: „Jak to jak one? A to ja nie mam żołądka, a to ja nie jestem normalny człowiek?”. „No, widzisz, Marysiu, ja o tobie miałam takie jakieś wyobrażenie wielkie, wysokie, że jak wy wyście tak jadły, ja smażyłam i na to patrzyłam, to ja się nie dziwiłam dziewczętom, ale tobie się dziwiłam”. Ja już się rzuciłam do niej, mówię: „Mamo, przecież ja jestem taka sama jak one. Taki sam mam żołądek, tak samo jestem głodna i tak samo wcinam placki jak one”. Ucałowałam mamę, ona mnie przeprosiła, że mi takie coś powiedziała, że się mną zgorszyła, zgorszyła się. Takie miała o mnie wysokie wyobrażenie, że jak ja tak zajadałam placki, to ona się zdumiała, że Marysia też tak samo jak one, a ja się śmiałam z godzinę. Byłyśmy już najedzone. A jeszcze dzień 8 września się nie skończył. I teraz to coś ważnego. Mama już tam te naczynia po smażeniu, po jedzeniu placków, mama to wszystko jakoś uporządkowała. A myśmy sobie tak siedziały i tak sobie gadamy. Jeszcze jest dzień 8 września. Dzisiaj złożyliśmy ofiarę z życia za naszego Ojca. Tak sobie o tym gadałyśmy. Jak to będzie? Czy Jezus przyjmie tę ofiarę? Zginimy? Czy przeżyjemy? Tajemnica. W pewnym momencie patrzę na zegarek i mówię: „Słuchajcie, wiecie co, już niedługo będzie dwunasta w nocy, czyli dzień 8 września, dzień Narodzin Matki Bożej”. Bo był to dzień Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Takie święto w Kościele katolickim. „Dzień się skończy, a my żyjemy. Złożyliśmy ofiarę, ale żyjemy”. I wtedy, a było to jakoś za dziesięć dwunasta w nocy, słyszymy straszny ryk taki, to nie była „Gruba Berta”, to była... To była „Gruba Berta”. Tymi pociskami z „Grubej Berty” Niemcy wykończyli Stalingrad. I te pociski z „Grubej Berty” padały nieraz w ciągu dnia, ale nigdy Niemcy nie walili w powstaniu w nocy, nigdy. Pierwszy raz w nocy, noc, za dziesięć dwunasta i „Gruba Berta” ryczy, a jak się usłyszało ryk „Grubej Berty”, to znaczy, jak to powiedzieć, ryk tej korby, która się kręciła, się liczyło do siedmiu i padał pocisk, straszny pocisk. Wiedziałyśmy, że nic się przed tym pociskiem już, jeżeli padnie na jakiś jeszcze stojący dom, to nikt się nie uratuje, dom się rozwała. Za dziesięć dwunasta i „Gruba Berta” ryczy, nie do wiary. Mnie w tym momencie przyszło na myśl: złożyliśmy ofiarę z życia. Liczę do siedmiu. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem. Jezus! „Gruba Berta” pada w nasz dom. Jedyny pocisk, który padł tej nocy, jedyny, była cały czas cisza absolutna i powtarzam, Niemcy nigdy w Powstaniu Warszawskim na powstańców nie walili w nocy. No i pocisk straszny, huk nieludzki, znaczy w tym sensie nieludzki, że aż uszy drętwiały od tego huku. Dym, wtedy taka kurzawa się robiła straszna i myśmy po prostu się dusiły. Ja mówię: „Jezu, nie zginęliśmy od kul powstańczych na powstaniu warszawskim, a udusimy się od tego kurzu?”. Chciałam oddychać, nie mogłam. Zaczęłam pluć na chusteczkę, którą miałam w kieszeni, ale nie miałam śliny. Po tych przeżyciach nie było śliny. No więc: „Jezu, jeszcze raz, tak: oddajemy życie za naszego ojca”. I nie udusiłyśmy się. Jak to było, to ja nie wiem. W pokoju, już ten pokój prawie nie istniał, my się zorientowałyśmy, że jesteśmy w takiej straszliwej kurzawie. Bo nigdy ten pocisk nie padł na żadne pomieszczenie w czasie powstania, w którym my byłyśmy. Nigdy tego nie przeżyłyśmy. Padł ten straszny pocisk, my wiedziałyśmy, że jest straszny, wiedziałyśmy, jak on się nakręca, jak się liczy do siedmiu, ale nigdy nie przeżyłyśmy tego pocisku na nas. A ten pocisk 8 września, tak trzeba poprawić, padł na dom, w którym my byłyśmy. Dom się składał z siedmiopiętrowej, ogromnej części domu, siedmiopiętrowa, i dwupiętrowki przyczepionej jakby do tego ogromnego

domu, dwupiętrowki, w której właśnie byliśmy my, mama Janicka i my, mama Janicka ze swoim synkiem. Nikt z nas nie zginął, nikt z nas nie zginął, ale trzeba wyjść, jak wyjdziemy? Tak żeśmy spojrzały w dół, okazało się, że nie istnieje, że nie istnieją schody, którymi myśmy weszły do tego pomieszczenia w tej dwupiętrowce. Nie istnieją schody. Więc każda skakała. Podłoże tego podwórca było podwyższone, bo siedmiopiętrowka zawałiła się. Rozumiecie, prawda? Ta część siedmiopiętrowa cała została zburzona, a my żyjemy. Ja krzyczałam tylko: „Dziewczęta, nie ruszajcie się”, zanim zaczęłyśmy skakać. „Nie ruszajcie się”. Dzięki Bogu, bo byłaby przepaść, 2 piętra, ale przepaść, 2 piętra przepaści. Więc po tym pocisku zaczęłyśmy skakać, skakałyśmy, wszyscy się uratowali, ale dom siedmiopiętrowy nie istniał. Tam właśnie w tej siedmiopiętrowce zginął prezes Sodalicji Akademickiej w Warszawie, Władek Domaradzki, którego mama chciała, żebym ja została jego żoną. Ale on mi się na szczęście nigdy nie oświadczył, ja bym nigdy nie przyjęła, bo ja nie myślałam już o żadnym małżeństwie, tylko już byłam całkowicie oddana Panu Jezusowi przez Maryję. Ale oni tam wszyscy zginęli. Wszyscy w tej siedmiopiętrowce zginęli. Zginął jakiś lekarz, znaczy uratował się jakiś lekarz, ale on nie był w tej siedmiopiętrowce. Tylko ja nie wiem, gdzie on był. On się uratował i szlochał. Jak myśmy wyszły z tej dwupiętrowki, to znaczy jak myśmy wyskoczyły po kolei z tej dwupiętrowki, on siedział i szlochał. Zginęła cała jego rodzina w tych siedmiu piętrach. Tam się prawie nikt nie uratował. Jego żona i siedmioro dzieci. Szlochał jak dziecko. W siedmiopiętrowce nikt się nie uratował, a w tej przyczepionej dwupiętrowce myśmy się uratowały. To był naprawdę cud Boga, ale ważny dodatek. Wiecie jaki? To było w dniu naszego ofiarowania życia za naszego Ojca. Pan Bóg dał nam znak. Ten pocisk tej „Grubej Berty” to był dla nas znak. Pan Bóg przyjął, ale kazał nam żyć. Nie zginęłyśmy, powinnyśmy zginąć jak wszyscy inni, którzy zginęli w tym olbrzymim domu siedmiopiętrowym. A Pan Bóg chce, żebyśmy żyły. I wtedy postanowienie. Jeżeli Pan Bóg w święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny uratował nas z pocisku „Grubej Berty” siedmiopiętrowy dom zburzony od strychów aż do piwnic, a my żyjemy, to wobec tego Pan Jezus od nas chce, żeby nasze życie było piękniejsze niż dobrowolna śmierć w Powstaniu Warszawskim. I wtedy przeżyłyśmy naprawdę wstrząs, że Bóg nas uratował dla jakiejś swojej, to znaczy Jego Bożej sprawy. To jest cud, a ta „Gruba Berta” jest dla nas znakiem: mamy żyć, ale życie nasze musi być doskonałe i bardziej podobające się Bogu, niż nawet gdybyśmy miały tego dnia zginąć, niż dobrowolna śmierć w powstaniu. To było nasze najcudowniejsze przeżycie w Powstaniu Warszawskim. Mamy żyć dla Chrystusa, dla Matki Najświętszej, dla Boga. No i nie wiem, jak żyjemy, czy lepiej, niż gdybyśmy zginęły, ale żyjemy dla Niego. Dlatego ocalałyśmy. Myśmy się tak przyzwyczaili do tych grzmotów, znaczy i „Grubej Berty”, i potem [niezrozumiałe], i te tak zwane „krowy”, ciągłe walenie Niemców, że raptem zupełna cisza, nikt nie wiedział, co się dzieje. Okazało się: koniec powstania. Układ po prostu, już powstańcy, już Niemcy właściwie zdobyli Warszawę. Zostali powstańcy właściwie, to musiało być poddanie. Nie rozumialiśmy tej ciszy na początku, ale potem domyśliłyśmy się, po prostu koniec powstania. Kapitulacja, kapitulacja. Straszne słowo. Kapitulacja. Po tych prawie 2 miesiącach walki to to słowo kapitulacja i sama myśl, że jest kapitulacja, że tak się Warszawa broniła. Warszawa stała się bohaterskim miastem, nieujarzmionym rzeczywiście. Tyle dni walki, na pewno wiele osób zginęło, wtedy jeszcze nie wiedziałyśmy ile. Wtedy myślałyśmy, że 3/4 Warszawy zginęło, a potem się dowiedziałyśmy po wyjściu, nie tylko po wyjściu, ale już długo potem, że tylko około 200 000 z jakimś tam, kilkudziesięciu, dwieście kilkadziesiąt tysięcy zginęło Warszawianków, a przecież Warszawa, jak zaczynała powstanie, to było 1 mln 100 000 około. I na tym właściwie jakby polegał cud Matki Bożej, w który ja tak niesamowicie wierzyłam. Wierzyłam, że Matka Boża uratuje Warszawę. Nie uratowała murów, uratowała ludność cywilną i powstańców. Wyszło około 800 000 z Warszawy po 2 miesiącach straszliwego oblężenia. Straszliwe oblężenie i wreszcie kapitulacja. Serce się ścisnęło z bóleści, że po takiej bohaterskiej

obronie, po ofierze ludzi, którzy padli w Powstaniu Warszawskim, kapitulacja. Wydawało nam się, że trzeba było jeszcze walczyć, jeszcze dłużej walczyć. Ale kapitulacja. Niektórzy płakali. Jedni ze szczęścia, że już możemy wyjść, że cisza, że nie zginęli w powstaniu, że mogą iść, gdzie chcą. No a drudzy płakali z żalu, że kapitulacja. Cisza, jeden dzień, drugi. Zorientowaliśmy się, że trzeba będzie wychodzić z Warszawy. Kto ocalał, musi wyjść. Bo co robić w gruzach? Wiecie, ile nas wychodziło z Warszawy? Z tej już zwyciężonej Warszawy, zwyciężonej w swoich murach, które legły. Ale w żadnym razie nie w sercach Warszawiaków. Jednak to była bohaterska obrona i bohaterscy Polacy. Woleli nawet ginąć, ale żeby Polski i Warszawy nie oddać w ręce Niemców. Te dziewczęta, które się do nas dołączyły, nasze z „Ósemki”, to już było, nas było wtedy chyba sześć czy siedem, kiedy wychodziłyśmy. A ponieważ były mamy, jedna była, jedna miała ojca, ale jeszcze tam ktoś, wiecie, ile nas osób, cała gromada nasza, która wychodziła z Warszawy, gromadka nas, to znaczy tej właśnie „Ósemki” i naszych rodzin, 13 osób. Już taka gromada nas wychodziła z Warszawy na Dworzec Zachodni. I tam pakowali nas. A jak myśmy wychodziły, to widziałyśmy te tłumy. Nie macie pojęcia, to było coś niesamowitego. Wychodzimy, cisza, ulice zapchane ludźmi. Jak to? To po tym, co Niemcy robili, walili całymi dniami, bo w nocy nie, to potem tyle ludzi wychodzi całych, zdrowych? Nie do wiary. Myśmy takie oczy stawiały. Myślałyśmy, że nasza gromada wyjdzie i jeszcze parę jakichś innych osób, a pewnie wszyscy zginęli. Bo dwa miesiące oblężenia Warszawy to jednak było coś z jednej strony bardzo ciężkiego, a z drugiej strony coś wspaniałego. Bohaterska Warszawa, bohaterska stolica. Jak zobaczyłyśmy te tłumy, wszyscy się na siebie oglądali, że tyle wychodzi. Ludzie też nie wierzyli. Oni, my, wszyscy byli zdumieni, że tyle Warszawiaków wychodzi ze stolicy. Zapakowali nas na Dworcu Zachodnim, a jeszcze muszę powiedzieć, że jak wychodziliśmy, musieliśmy, w każdym razie na jednym z placów, patrzmy, właśnie powstańcy. Niektórzy, Andrzeja Janickiego chyba nie spotkałyśmy, już nie pamiętam, Leon Sterna, ludzi, z którymi miałyśmy kontakt w czasie powstania, oni wszyscy już byli więźniami. Już byli, Warszawa padła. Niemcy niestety byli zwycięscy, ale Warszawa była zwycięska duchem. Stolica, nieujarzmione miasto. Zapisało się chyba na wieki w dziejach narodu i w dziejach świata. Teraz wychodzili, my na wolność. Opaski musiałyśmy zdjąć. Strasznie nam było żal. Tak już nam powiedziały, że jeżeli wychodzimy z Warszawy, to musicie zniszczyć wszelkie oznaki, że byłyście właśnie żołnierzami AK. Te opaski WP, Wojsko Polskie, to wszystko musiałyśmy zniszczyć, ale widziałyśmy, jak chłopcy, to chyba było na Placu Narutowicza, otoczeni Niemcami, idą do niewoli, bo powstańcy szli do niewoli. Potem nas załadowali do... takie bydlęce wagony. Otwarte, pociąg, ale otwarte wagony, bydlęce. Nie normalne wagony dla ludzi. Policzyłyśmy się tak wzajemnie, ile nas osób wychodzi z tej naszej gromady, 13. W Ursusie, ten pociąg jechał jak zółw, tak wolno, w Ursusie się zatrzymał i wszyscy: „Raus!”, Niemcy, wszyscy byli otoczeni. Ale już nie było żołnierzy, nie było wojska, tylko ludność cywilna. Myśmy już były ludnością cywilną. Wszyscy mają wychodzić. Ursus. I wtedy stał się właściwie dla nas cud. Jedna z nas poczuła potrzebę. W tym bydlęcym naszym wagonie nas było 13 osób i jacyś tam jeszcze inni, wszyscy powychodzili, a Janeczka Michalska mówi tak: „Zasłońcie mnie, bo ja muszę na chwilę być niewidoczna”. I ten moment, to jakieś było kilka minut, że my patrzmy, że wszyscy wysiedli i my w tej gromadzie naszych dziewcząt i naszych przyjaciół, ta 13-osobowa grupa, że w tym bydlęcym wagonie otwartym jesteśmy same. Wychodzimy. To, że Janeczka poczuła potrzebę, uratowało nas, bo wszyscy wyszli, Niemcy ich otoczyli, a my byłyśmy w tym wagonie otwartym. Ja mówię: „Wychodzimy, no bo co?”. Stoi pociąg, a jeszcze wam trzeba wiedzieć jedno, że gdy zaczęło się powstanie, myśmy sobie powiedziały, te trzy: „Idziemy na Jasną Górę”. I nie wiedziałyśmy, co to będzie, jak to będzie. W każdym razie idziemy na Jasną Górę, do Matki Bożej Częstochowskiej. Kochałyśmy Ją już od dawna, ale właściwie nie bardzo Ją znałyśmy. Więc jeżeli się powstanie zaczyna, idziemy na Jasną Górę. I przez wszystkie dni

powstania w najcięższych momentach mówiliśmy sobie: „Odwagi, idziemy na Jasną Górę, musimy dojść do Maryi. Jak zginiemy, to zginiemy, oczywista. To jest za Polskę, za sprawę Bożą, ale jeżeli uratujemy się, musimy dojść na Jasną Górę”. Więc w tym Ursusie patrzemy, ludzie, wszyscy już, Niemcy wszystkich usunęli z wagonów i wszyscy poszli do Pruszkowa, a w Pruszkowie był taki obóz, może słyszałyście, w Pruszkowie. Tak że właściwie wszyscy musieli, otoczeni przez Niemców, się udać do Pruszkowa. Ludność cywilna, bo żołnierze, naprawdę powstańcy w tych burkach powstańczych, to już wszystko właściwie szło do niewoli. A ludność cywilna, do której myśmy się już też zaliczali, byliśmy właściwie wolni. Uratowało nas te parę minut. Wychodzimy z wagonu, patrzemy w lewo, w prawo. Ludzie się rozchodzą, otoczeni Niemcami, a my nie jesteśmy przez nikogo otoczeni. W pewnym momencie patrzemy, stoją Niemcy, Niemcy w mundurach, ci zwycięzcy, i pepesze mają zwrócone ku nam. Dosłownie, tak stali z pepesami, ale nie ruszali się, nie strzelili do nas. Myśmy byli zdumieni w tej gromadzie. Patrzemy na siebie. „No jak to, to jesteśmy wolni? To możemy właśnie iść na Jasną Górę? No możemy. No to idziemy na Jasną Górę”. Niemcy nie widzą nas, pepesze trzymają skierowane do nas, nie strzelają. Do dzisiejszego dnia przeżywam to, cud. Matka Boża wzięła dosłownie, że idziemy na Jasną Górę, i nas ocaliła, abyśmy doszły do Niej i abyśmy potem całe życie żyły dla Niej, a przez to dla Chrystusa. Niemcy stoją, nie strzelają, ja mówię: „Dziewczęta, idziemy w kierunku”, jakiś domek tam był. Ja mówię: „Tu ten domek, to idziemy. Nie oglądajcie się. Nikt z nas ma się nie oglądać”, z tych 13 osób. Ja się w pewnym momencie obejrzałam. Niemcy stali z pepesami tak. Nie strzelili, nie ruszyli się, nie otoczyli nas. Potem się okazało, potem, potem, długo potem, jedyny transport, który się uratował, to był właśnie ten nasz. A tak wszyscy, którzy w ciągu całego powstania wychodzili, bo przecież Niemcy sukcesywnie pozwalali niektórym dzielnicom wyjść, to byli i szli już do niewoli, byli otoczeni przez Niemców. Myśmy się wszyscy, cała trzynastka, wszyscyśmy się uratowali. Patrzemy: domek, ja mówię: „To idziemy do tego domku”. Idziemy, wprost nie wierząc, że nie idziemy do żadnego Pruszkowa, nie jesteśmy otoczeni przez Niemców, po prostu idziemy na Jasną Górę. Ale piechotą chyba nie dojdziemy, za daleko. Do tego domku. Taki domek mały, uroczy. Otworzyła nam jakaś pani, trochę przerażona, jak nas zobaczyła, i mówi: „Kto wy jesteście?”. My mówimy: „Proszę pani, niech się pani nie boi. My jesteśmy z powstania, ale Niemcy nas widzieli i nie strzelili do nas, więc nic się pani nie stanie, bo Niemcy tu nie przyjdą, bo przecież mogli strzelać, jak myśmy szły do tego domku”. Nic. No jak to zrozumieć, jak nie, że to był cud Matki Bożej? Cud Matki Bożej Jasnogórskiej. Dlatego my jesteśmy tak absolutnie oddane Matce Bożej Jasnogórskiej. Jakby żyjemy w Jej ramionach. Ona nas uratowała. Mówię: „Niech pani nas przyjmie, pobędziemy troszkę. Niemcy już w ogóle się oddalą, już będzie zupełnie wolna droga. I wtedy pójdziemy”. Ona mówi: „Dobrze, zgadzam się. To się tutaj jakoś rozgośćcie i siadajcie do stołu”. Mówimy: „To co będzie?”. Ona mówi: „Ugotuję wam kartofle, mam pomidory, zrobię wam sałatkę, nakryję stół obrusem, bo pewnie w powstaniu nie było takich możliwości”. Nakryła rzeczywiście stół obrusem, podała różne sztucce. Myśmy siedli, czekamy. Pani gotowała kartofle i robiła sałatkę. Wszystko to wjechało na stół. Każdy z nas miał talerz, sztucce i dymiące kartofle. I obok cały półmisek sałatki, pomidorów. Siedzimy. Przeżegnaliśmy się. Chwilka modlitwy i siedzimy. Nikt się nie ruszył. Nikt się nie brał do jedzenia. Ja mówię: „Kochani, przecież jesteśmy wolni. No to jemy”. Odpowiedź: „No to jemy. W imię Boże”. I wszyscy w płacz. Zrobił się tak straszny szloch. Wszystkimi płakali jak wariaty. Jesteśmy wolni. Niemcy za nami patrzyli. Trzymali skierowane ku nam pepesze. Nie strzelili. Idziemy na Jasną Górę. To był taki szczyt szczęścia, że wszyscy ryknęliśmy ze wzruszenia. Z tego wzruszenia. Wolni idziemy do Matki Bożej, na Jasną Górę zwycięstwa. O Boże, co za szczęście. Mówimy: „No to jemy. No to wreszcie musimy zjeść”. Jak żeśmy się rzucili na te kartofle, pierwszy raz ciepłe danie od pierwszego dnia powstania, czyli przez 2 miesiące. Pierwszy raz posiłek. Jedliśmy i właściwie też płakaliśmy. A tży leciały

do talerzy ze szczęścia. Ze szczęścia uratowanego życia, wolności i tego, że naprawdę idziemy do Matki Bożej. To był Ursus. –

Kto był dokładnie w tej trzynastce osób? Znaczy jak pani pamięta.

Maria Okońska: To nas jeszcze kilka z „Ósemki” doszło.

A jakie to były panie z „Ósemki”?

Maria Okońska: W tej chwili nawet... Na początku była Janka, Lilka, ja. Potem była Zosia Braunschweig z mamą, która też była w „Walczącej Warszawie”, ale myśmy się akurat nie musiały wtedy spotkać. Ale już w tej gromadzie byłyśmy. Zosia Braunschweig, Kalina Mataszewska z tatusiem, uroczym panem, z tatusiem, Kalina Mataszewska, Zosia Braunschweig, Janka, Lilka, ja, Zosia Braunschweig, Kalina Mataszewska, jeszcze jedna, z „Ósemki”, ale już w tej chwili nie pamiętam, która to była. W tej chwili jakoś mi umknęło. I różni tacy przyjaciele, z którymi jeszcze się spotkaliśmy w powstaniu. I teraz jesteśmy już wolni wszyscy. I pierwsza myśl po zjedzeniu tej przepysznej uczy, to znaczy kartofle i pomidory z cebulą. Tej pani powiedzieliśmy, że będziemy krótki czas, żeby się nie bała, że nie będziemy tu nocować. W jakiś sposób, już w tej chwili dokładnie nie pamiętam, dostaliśmy się do Grodziska. Chyba to był następny taki pociąg jakiś, dostaliśmy się do Grodziska.